№ 1.

Bióro Redakcji przy ulicy Solnej Nr. 715, w Warszawie.

Prenumeratorowie stali **Opiekuna Domowego**, — nadsyłający prenumeratę wprost do Redakcji, otrzymują w dodatku **Czytelnię Domową**, zawierającą w sobie wybór powieści, romansów, dramatów i tym podobnych dzieł treści beletrystycznej.

OPIEKUN DOMOWY

Warszawa, dnia 26 Grudnia / 7 Stycznia 1870/1 roku.

ROK VII.

Serja Druga

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tem mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop. 33¾). Skład główny dla pp. Księgarzy w Warszawie w księgarni Ferdynanda [illegible]cka, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u **Leitgebera**, — *we Lwowie* u **Wilda Karola**, *w Żytomierzu u* **Budkiewicza** księgarza.

TREŚĆ. Karnawał, przez Aleksandra *Osipowicza*. — Grajek (z drzeworytem), wiersz Franciszka *Gumowskiego*. — Jan Matejko (z portretem), przez Karola *Widmana*. — Państwo Marcinostwo, obrazek z zaścianka szlacheckiego, przez I. K. *Gregorowicza* — Czas i zegary (z drzeworytem), przez Oskara *Stanisławskiego*: — Wiązanka —Fraszka: Panicz po powrocie z zagranicy (z drzeworytem): —Kalendarz ścienny illustrowany na rok 1871.

KARNAWAŁ.

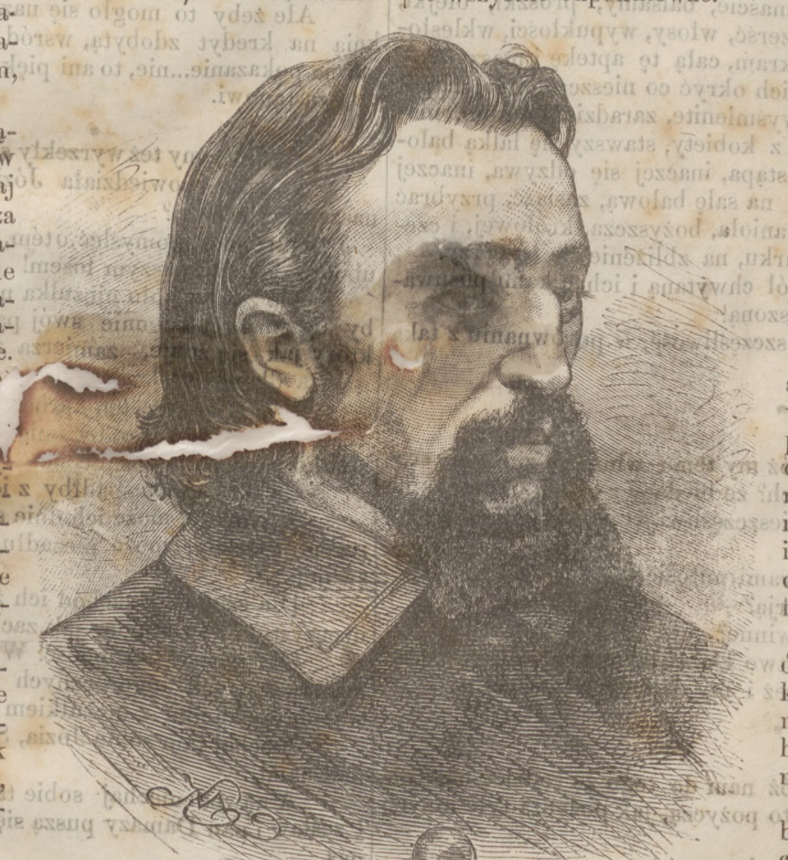
„A są te ich krotofile jako wędki na ryby, albo wspory na ptaki:— Takież rybeczki około wędki igrają, biegają, a ona się im nadobnie błyszczy, aleć jedna po chwili chyt na brzeg, ani się sama zobaczy co się jej stało. Albo takież ptaszek pod siecią albo na lepie, ani sam wzwie kiedy uwięznie.“

M. Rej z Nagłowic.

Obchody mające na celu używanie przyjemności zmysłowych, posunięte do nadużycia, zwane u starożytnych Luperkalje i Bachanalje — przeszły aż do naszych czasów, z zachowaniem niektórych szczegółów i dziś znane są pod nazwą zabaw karnawałowych, lub jednym wyrazem, karnawału.

Uczeni, wyprowadzają początek nazwy tej od dwóch wyrazów łacińskich: *caro* mięso, i *vale* bywaj zdrowe. Zatem karnawał oznacza pożegnanie się z mięsem. W czasach gdy następujący po karnawale wielki post bywał ściśle obserwowanym w świecie chrześcjańskim, nazwa ta miała właściwe znaczenie. Dziś, kiedy post ów stał się dla wielu nazwą bez treści i karnawał nie oznacza już więcej pożegnania z mięsem, będącém symbolem wszelkiej zmysłowości, a raczej jest wyrażeniem służącém za miano okresowi czasu od Trzech Króli do popielca, w którym zabawy prywatne i publiczne ciągną się nieprzerwanym szeregiem.

Karnawał bywał u nas nazywany mięsopustem. Ostatnie dnie jego przed popielcem i teraz się zowią ostatkami, a ostatni czwartek przed niemi, tłustym czwartkiem, w ciągu którego spożywanie mięsiw i ciast, bywa potężne.



Jan Matejko (do Str. 3).

Kurjer Warszawski z r. 1822 podaje, że w tłusty czwartek tegoż roku w Warszawie, w czterech cukierniach ówczesnych, to jest u Lursa, Miniego, Kastelmara i Ferrarego sprzedano 31,000 pączków; ilość, jak na owe czasy obfitości, taniości i zamożności rodzin, wcale znakomita, zwłaszcza, że podówczas Warszawa, jeżeli się nie mylimy, nie była nawet o połowę tak ludną jak dzisiaj, a zwyczaj przygotowywania ciast w domu był powszechnym. Zatem owe trzydzieści jeden tysięcy pączków, skonsumowane zostały przez osoby wyjątkowym sposobem żyjące, lub nie posiadające własnych domów.

* * *

Karnawał nadchodzi! przemysłowcy zacierają sobie ręce, rodzice załamują je, a córunie, z rozmarzoną melancholją, powtarzają: karnawał! karnawał!!

Dla kupców, to żniwo—dla rodziców, to plaga—dla młodzieży to raj, ów karnawał.

Raj? i jakiż to ten raj? Zaprawdę nie ów Eden, nie owa kraina spokoju, światła, ciepła, woni, kwiatów i melodji, przerżnięta rzekami mlekiem i miodem płynącemi, ozdobiona gajami wiecznie kwitnącemi, wiecznie woniejącemi i rozlegającemi się pieniem ptastwa.

Nie, to raj tegoczesny, owe wysokie komnaty o lśniących posadzkach, błyszczących zwierciadłach i pałających kandelabrach; wielkie klatki owe, w których zgromadzają się ludzie poprzebierani w umówione szaty i fanty, żeby w zaduchu, zgiełku, wirze, wzajemnie się obmawiać, krytykować, mamić i udręczać fizycznie i moralnie, a wreszcie odczarowaniem, niedostatkiem, biedą lub chorobą, za to wszystko odpokutować.

A jednakże ileż to ust niewieścich powtarza z namaszczeniem, godném lepszej sprawy, owe dwa tylko niewielkie zewnętrznie, ale w treści głębokie i smutne jak otchłanie wyrazy: karnawał nadchodzi!

Moraliści, myśliciele i filozofowie, niemało napsuli papieru i atramentu na piorunowanie przeciwko nadużyciom karnawałowym, i cóż dokazali?

Offenbach i kankan zagłuszyli sensatów. We Francji od lat wielu wrzał bezustanny karnawał, i dopiero stalowe flobony Kruppego dopomogły nieco do wytrzeźwienia się z zawrotu głowy i odurzenia, w jakie bachanalje, protegowane i zaszczepiane tam przez wielkiego człowieka do małych interesów, cały naród wtrąciły.

We Francji tedy karnawał ów przeciągły i zabójczy już się kończy, następuje rachunek sumienia, żal za grzechy, pokuta i rehabilitacja. Lepiej jest późno upamiętać się, niż nigdy.

Pamiętamy wszyscy, że z głębi Francji podnosiły się głosy przeciwko zbytkom i rospasaniu obyczajów. Ale znaleźli się tacy, którzy owo rospasanie nazwali urojeniem, a zbytek dźwignią przemysłu. Śliczna zasada, podnieść przemysł kosztem moralności ogólnej! To tak, jakby ktoś dowodził, że można i godzi się obielić kogoś atramentem!

Zbytek i rospasanie się na zmysłowe uciechy są szałem, są chorobą. Biada tym którzy w nie wpadną, którym się zdaje że życie jest tylko jednym ciągiem karnawału, a świat nieustanną maskaradą.

* * *

Karnawał nadchodzi! mama Józi sprzedaje swe ostatnie wyprawne klejnoty — mama Stefci zastawiła srebra domowe — mama Andzi spieniężyła ostatni list zastawny — mama Lodzi wzięła niedawno pożyczkę z Towarzystwa kredytowego na kamienicę... okropność! Józia, Stefcia, Andzia, Ludka będą miały nowe suknie, będą na balach, będą miały roskosz dąsać się, trapić się, rzucać się,

ubierać się, rozbierać się, paplać, mizdrzyć się, spodziewać się, rozpaczać i szaleć z zazdrości i zawiści, względem najdroższych swych przyjaciółek, lepszego od nich powodzenia doznających.

Nie, — stokroć nie, — ludzie zimnego i zacofanego animuszu niezdolni są zrozumiéć ani ocenić, ile w sobie mieści roskoszy bolesnej i miłej zgrozy ten wyraz karnawał!

Karnawał zawiera w sobie roskosze gry hazardownej, łowów na drapieżnego zwierza, loterij, wystawy, bazaru, wyścigów, oblężenia, szturmu, walnej pielgrzymki do Mekki, żeglugi podbiegunowej, inkwizycji i tortur, łoża Madejowego, Sedańskiej kapitulacji, sądu ostatecznego i końca świata.

* * *

Niech sobie piorunują moraliści na szaleństwa karnawałowe, niechaj wołają o upamiętanie się w imię przeszłości, teraźniejszości i przyszłości... próżna fatyga!

Kiedy Józia, Stefcia, Andzia i Ludka będą szaleć, miałyżbyśmy statkować?

Możeby chciano tego po nas, żebyśmy pieniądze, mające się wydać na stroje nasze, uciechy i zabawy, oddały na korzyść cierpiącej ludzkości?

Możeby to było *piękne dla historji*, jak się wyraził wielki człowiek do małych interesów, ale cobyśmy na tem skorzystały?...

Okropność pomyśleć tylko o tém, że siedziałybyśmy w domu wtedy, gdy Józia, Stefcia, Andzia, Ludka i tyle innych, hasałyby na balu.

Zastanówcie się tylko ludzie bez serca... zastanówcie się nad tém, co to za szczęście, błogość i roskosz włóczyć się po magazynach, wybierać tkaniny na suknie, przymierzać stroje, gromadzić złoto, srebro, szych, drogie kamienie, maście, balsamy, proszki, olejki, farby, wstęgi, kwiaty, puch, watę, szerść, włosy, wypukłości, wklęsłości, kształty i t. p. — i cały ten kram, całą tę aptekę i maszynerję kłaść na siebie! A za pomocą nich okryć co nieszczególne, napół odsłonić co niezłe, uwydatnić co wyśmienite, zaradzić brakom, niedostatkom, zbytecznej obfitości, i z kobiety, stawszy się lalką balową, która inaczej patrzy, inaczej stąpa, inaczej się odzywa, inaczej się porusza niż w domu, wkroczyć na salę balową, zasiąść, przybrać minę kwiatka, gwiazdy, jutrzenki, anioła, bożyszcza, królowej, i czekać niby posąg miłosierdzia w murku, na zbliżenie się tancerzy.

A potém być przez nich w pół chwytaną i ich rękami posuwaną, cofaną, miotaną, okręcaną, noszoną!

I czemże jest wszelka inna szczęśliwość, w porównaniu z taką błogością?

* * *

Karnawał nadchodzi! ba! cóż my temu winne że zima się sroży? że nędzarze marzną po ulicach? że biedacy z głodu umierają na poddaszach? że chorzy, kalecy i nieszczęśliwi jęczą tam gdzieś, wzdychają i płaczą?

Alboż to my jesteśmy siostrami miłosierdzia?

Alboż ten świat jest infirmerją?

Co my temu wszystkiemu winne?

A od czego jest Towarzystwo Dobroczynności, miłosierdzie, szczodrobliwość publiki? przecież i my dajemy jałmużnę!

* * *

Karnawał nadchodzi! ba! cóż nam do tego że rodzice nasi nie mają teraz pieniędzy. Nie mają, to pożyczą, jak pożycza tyle innych rodziców.

My musimy ubawić się tego karnawału!

Czy to my gorsze jesteśmy od Józi, Stefci, Andzi, Ludki i tylu innych?

Lepszemi także nie chcemy, nie możemy nawet być od nich. Po co my mamy wyróżniać się od ogółu?

My musimy ubawić się tego karnawału!

* * *

Musimy? i ktoż nas zmusza?

Zwyczaj? A ileż to osób nie stosuje się do tego zwyczaju?— Czyż świat wytyka ich za to palcami?

Bynajmniej!

A pan Adam, pan Bolesław, pan Czesław, pan Damazy i tylu innych panów dowodzą, że nadużycia karnawałowe nie są zgodne z duchem wieku, z wymaganiami cywilizacji, z godnością człowieka; że prędzej czy później, jako zabytki czasów barbarzyńskich, z obyczajów naszych wyrugowane być muszą...

Czy to prawda? a jeżeli prawda, to czemże jest karnawał, jeżeli nie pasmem szaleństw...

A jeżeli ci panowie przesadzają?

Jeżeli bowiem komu wesoło, zdrowo, i pomyślnie na świecie, to dla czego nie miałby się zabawić? Zabawić, a szaleć do upojenia, to różnica...

Ale i bawić się wtedy, gdy na świecie rozlegają się westchnienia i jęki... czy się godzi? a tém bardziej, czy wypada szaleć?..

Kto wie? może też i nie musimy wcale należeć do karnawałowych igraszek.

Bo co prawda, ojczulek nasz jakoś nie domaga.

Jakimże to dziwném okiem spogląda na nas, gdy wspominamy że karnawał nadchodzi! Wtedy zdaje się nam, że jego srebrne włosy zaczynają się jeżyć, na chwiejącej się, skołatanej i smętnej, najdroższej głowie ojczulkowej! Jego drżące ręce, które tyle pracowały dla nas w ciągu życia, zdają się trząść wtedy jeszcze bardziej.

A mateczka, gdy wspominamy o karnawale, spuszcza oczęta pobożnie na robótkę, nie śmie na nas spoglądać. Czepeczek przekręca się jej na bakier, a usta zacinają się boleśnie.

Jakże przykro być musi tym naszym najdroższym staruszkom, że nie mają funduszów na wystrojenie nas, wypchanie i wysłanie na zabawy i bale!

I czyż ta przykrość ich, byłaby choć w części okupioną przyjemnościami karnawałowemi?

* * *

Jakież to są owe przyjemności? Niespokojność, rozdrażnienie i fatyga,—a po tém wszystkiem, wyrzuty sumienia i żal.

Przyjemnie jest zabawić się w domu prywatnym, jak Bóg dał, bez strojów i zachodów.

Ale żeby to mogło się nazwać przyjemnością, ubrać się w suknią na kredyt zdobytą, wśród steku ludzi nieznanych wywijać się jak na pokazanie...nie, to ani pięknie, ani miło, jeżeli się ktoś raz nad tém zastanowi.

* * *

A gdybyśmy też wyrzekły się tego roku karnawałowych uciech?

A coby powiedziała Józia, Stefcia, Andzia, Ludka i dalsze nasze przyjaciółki?

Okropność pomyśleć o tém, jakie litościwe minki przybierałyby, ubolewając nad naszym losem!

Ale za to, czoło ojczulka naszego wypogodziłoby się, przestałby oglądać codziennie swój pamiątkowy, kameryzowany zegarek, który jak się zdaje, zamierza zastawić w lombardzie, żeby zdobyć grosza dla nas na kar[illegible]

F[illegible]! szkaradny ten karna[illegible]!

[illegible]ka znowuby śmia[illegible] na nas spoglądała i zaczęłaby się słodko do ojczulka uśmiechać...

Ciężki kamień spadłby z ich serc najdroższych.

A kto wie, może ich dnie są policzone, może to ostatni roczek razem jesteśmy, może niezadługo Pan Jezus powoła ich do chwały swojej...

Dla czegóżby zachód ich życia nie miał być jasnym, cichym, uroczystym i świetnym, jak zachód słońca?

Okropność! okropność! Wyrzekamy się z całego serca zabaw karnawałowych tegorocznych — spędzimy karnawał w naszym wspólnym kąciku z ojczulkiem i mateczką.

Niechaj tam sobie Józia, Stefcia, Andzia i Ludka ubolewają nad nami.

A nawet niechaj sobie tam i pan Adam i pan Bolesław i pan Czesław i pan Damazy puszą się i pysznią że ich zasady zwyciężyły nas...

Czy to wstyd uznać i przyjąć dobre zasady?

Skoro tedy tak, to niechaj sobie karnawał nadchodzi!

Aleksander Osipowicz.

GRAJEK.

Długo, długo w mém łonie,
Niby morskich wód tonie,
Jak huragan myśl wrzała chaosem;
Pierś wezbrała zapałem,
Trzęsła duchem i ciałem,
Niepojętym przejmując mnie głosem.
Fantastyczne postacie,
W promienistej z gwiazd szacie,

Pieściły mnie i w snach i na jawie,
Tak, że nieraz sam siebie,
Tonąc w marzeń mych niebie,
Podziwiałem w zdumieniu — w obawie.
I myślałem w zachwycie,
Jak rozpocząć to życie,
Jak wyciągnąć ramiona do świata.
Czy paść w jego objęcia,
Z niewinnością dziecięcia,
Czy wznieść go tam gdzie duch mój ulata.
W domu ojciec z macierzą,
Biedni, słabi wciąż leżą,
Jękiem bólu błagają pomocy.
O, mnie dla nich jak nieba,
Złota, srebra potrzeba-—
Talizmanów potęgi, wszechmocy;
A ja marzę i marzę,
I buduję ołtarze,
Ze krwi mojej i z własnych mych kości,
I z nadzieją i z wiarą,
Staję z bogactw mych czarą,
Gotów całej zawierzyć ludzkości.
W takich dumach, marzeniach,
W takich serca cierpieniach,
Gwiazda moja zabłysła przedemną;
A uczuciem nieznanem,
Lubem, słodkiem, kochanem,
Jak pochodnią rozdarła toń ciemną.
Po słonecznym zachodzie,
Wśród róż, lilij, w ogrodzie,
Ujrzałem ją goniącą motyla.
Miała lśniące warkocze,
Oczki jasne, urocze,
I śmiała się z pustoty co chwila.
Potem z listków kaliny,
Uplotła trzy wawrzyny,
I złożyła z nich jeden na ziemi;
Drugim, nucąc wesoło,
Uwieńczyła swe czoło,
Trzeci, klęcząc rączkami drobnemi,
Wyrzuciła do góry,
Pod obłoki, pod chmury,
Gdzieś na srebrną, promienną jutrzenkę,
Jako zakład dla tego,
Kto z strun ducha swojego,
Najpiękniejszą jej zagra piosenkę.
Ha, stało się... dom, chatka,
Biedny ojciec i matka,
Może wyprą się dziecka na wieki,
Lecz jak czasu, przestrzeni,
Nikt nie wzruszy, nie zmieni,
Tak przeznaczeń nie cofnie nikt rzeki.
Myśl, co wrzała mi w łonie,
Paląc piersi i skronie,
Wyszła na jaw i stała się ciałem;
A ja niby ptak w wiośnie,
Wyśpiewując miłośnie,
Grajkiem odtąd na wieki zostałem.
W szmaragdowym gaiku,
Przy szemrzącym strumyku,
Rosły lipy odwieczne konary;
A więc z serca tej lipki,
Wziąwszy smyczek i skrzypki,
Zaklnąłem je w znajome mi czary,
I stanąwszy przed oną,
Moją gwiazdą natchnioną,
Zagrałem jej pieśń jednę bez końca!
Święta, czysta i biała,
Tonów pieśni słuchała,
Jak słuchają ptaszkowie gry słońca.
Czułem, czułem, że głosy
Skrzypki płyną w niebiosy,
Że twarz ogniem natchnienia mi płonie;
Czułem że duch mi wzlata,
Za granice gdzieś świata,
Że mi serce rozpęka się w łonie—
I przerwałem piosenkę.
Patrzę—moję dzieweńkę
Ton melodji porwał w swe ramiona,
Bo jak trawka podcięta,
Przymrużywszy oczęta,
Z wiarą padła u nóg mych zemdlona,
I prosiła serdecznie,
By tak wiecznie a wiecznie,
Grać jej, choćby do samej mogiły.
Więc z skrzypkami we troje,
Słodząc sobie trud, znoje,
Gramy ludziom co starczą nas siły;
I od wioski do wioski,
Rozpraszamy chmur troski,
Rozbijamy szaleństwa puhary;
I od domu, do domu,
Echem dzwonka lub gromu,
Przestarzałe kruszymy w proch mary.
A choć czasem w tęsknicy,
Łza się stoczy z źrenicy,
Choć przypomni się ojciec, dom, macierz,
Biorę skrzypki do ręki,
I dobywam z nich dźwięki,
Balsamiczne, kojące jak pacierz...
Aż i łezka gdzieś zginie,
W wielkiej serca głębinie,
Niby brylant w nurtach oceanu.
I znów z gwiazdą jutrznianą,
Z oną cudną, kochaną,
Gram lub huczę nakształt huraganu.
O, płyń piosnko, płyń z duszy,
Póki śmierć cię nie zgłuszy,
Pókiś jeszcze w dziewiczej swej bieli;
Płyń, unoś się nad światy,
Mnie dość będzie zapłaty,
Gdy się ludzkość w tobie rozanieli.

Franciszek Gumowski.

JAN MATEJKO.

Dawniej mawiano o mężach wielkiego natchnienia, o twórcach wielkich dzieł, o sprawcach wielkich czynów, że duch Boży na nich spoczął. Dziś poszedł duch Boży u bardzo wielu w poniewierkę, i uśmiechnie się może niejeden na takie twierdzenie uśmiechem litościwym i pogardliwym. Uśmiech ten nie zraża nas wszelako od zastosowania tego poetycznego wyrażenia do Matejki.

Widoczne jest w rozwoju umysłowym Matejki, w postępie jego prac, w sile i obfitości jego twórczych pomysłów, władanie tej wyższej nad powszednią zdolność potęgi, którą rozmaicie nazywają: to genialnością, to natchnieniem artystycznem, to nareszcie, według dawnego sposobu, duchem Bożym, który spoczął na artyście. Bądź cobądź, cechuje Matejkę rzeczywiście ta wyższość uzdolnienia, która stawia mężów różnych zawodów na czele postępu w tym zawodzie, do którego należą.

Matejko stanął bezsprzecznie dzisiaj na czele naszego postępu w malarstwie.

Przed kilkoma laty staliśmy w dziedzinie sztuki jeszcze tak daleko za innymi narodami, że pośród nas samych podnosiły się głosy, które nam odmawiały, już dla tego samego, wszelkiej możności postępu w sztuce, odmawiały nam zdolności do utworzenia własnej szkoły. Zbijano to rozumowanie rozlicznie; lecz stanowczo zbitym został ten wyrok uprzedzonej krytyki przez czyny.

Stoimy dziś wyżej w dziedzinie sztuki, niż na jakimkolwiek innem polu.—W polityce i literaturze jest u nas górą miernota.

Sztuka jest jedynie dziedziną, gdzie mierność nie pójdzie nigdy górą. Sztuka ma tyle sposobów oddziaływania na ogół, że nawet wbrew najnieprzyjaźniejszym wpływom, nie dopuszcza bohaterom swoim ginąć w niepamięci. Popis błyskotny nie zjedna tu poklasku, a schlebianie opinji jest niemal rzeczą niepodobną. Talent i geniusz zdobywają sobie opinją. Zwycięża tu ten, na którym spoczął „duch Boży"—podczas gdy w życiu publicznem i literaturze, ten na którym „spoczął duch Boży" późno zjednywa sobie uznanie, a najczęściej podpada on prawu przez poetę trafnie wypowiedzianemu, że musi zginąć w doczesności to, co ma żyć wiecznie.

Matejko stał się zdobywcą opinji i zwyciężył najnieprzyjaźniejsze okoliczności, bo polem jego jest sztuka, a siłą jego genialność.

Pouczającem i godnem uwagi jest studium tak potężnego umysłu, jego rozwoju i walk jego kroczenia, z nieprzepartą siłą, ku celowi wytkniętemu przez ową potęgę wyższą nad ludzkie potęgi, która zakreśla rodzajowi ludzkiemu i narodom prawidła ich życia. Ubolewać nam przychodzi, że sam wzgląd na żyjącego jeszcze młodego i pełnego siły artystę, nie dozwala nam wglądać we wszystkie tajniki jego umysłu; bo każdy ma swoję dumę i wstydliwość, a przedewszystkiem jest ona właściwą genialnym umysłom. Wstydliwość i skromność z jednej, szlachetna duma z drugiej strony, nie dozwala im, wynurzać się ze wszystkiemi wrażeniami i natchnieniami swojemi, a mianowicie z temi, które najdzielniej przyczyniają się do rozwoju ich geniuszu.

Ograniczyć się przeto musimy na tem, co nam oko dostrzegacza obcego i z oddalenia się przypatrującego, dozwala odkryć, a często tylko odgadnąć. Jeżeli tedy nie odpowiemy w czem wewnętrznemu poczuciu i przeświadczeniu artysty, to wybaczy on nam ten niedostatek i przypisze go raczej gorliwości w zadośćuczynieniu niecierpliwym oczekiwaniom naszych czytelników, a niepomówi nas o niechęć lub lekceważenie. Domaganie się bowiem powszechne, skłoniło nas do pokuszenia się o skreślenie obrazu życia tego artysty, który nas tyloma już utworami swego pendzla zachwycił.

Musimy obraz ten zacząć od rysu powtarzającego się we wszystkich biografijach znakomitych ludzi, mianowicie, od wczesnego objawiania się talentu artysty.

Przypominają sobie towarzysze Matejki, że w najwcześniejszym już wieku, ulubionem jego zajęciem było, sumienne kopjowanie rycin, ze Spiewów historycznych Niemcewicza. — Niechętnem okiem patrzał troskliwy ojciec na to zamiłowanie pacholęcia, które mogło w postępach szkolnych stawiać niejakie przeszkody.



Grajek (do Str. 2).

Winnismy uzupełnić tu nasz obraz szczegółami, których dokładność po każdym życiorysie wymaga. Matejko (Jan Aloizy) urodził się dnia 30 Lipca 1838 r. w Krakowie. Rodzice jego (ojciec Franciszek Ksawery i matka Karolina z Rozbergów) pragnęli sposobić syna do zawodu, który pewniejsze zdawał się zabezpieczać utrzymanie niż malarstwo. Niechętnie dla tego zezwolił ojciec na to, aby Jan opuścił w czternastym roku życia gimnazjum św. Anny w Krakowie i za popędem wrodzonym idąc, udał się do szkoły malarskiej. Według dziwacznego dotychczas panującego systemu szkolnego, stanowiła szkoła sztuk pięknych część akademji technicznej. Nie dziw tedy, że dyrektor akademji technicznej doradzał ojcu, aby Jana raczej oddał na naukę do jakiego rzemiosła, niż do szkoły malarskiej. Kto bowiem sztukę stawia na równi z rzemiosłem, ten niezawodnie musi ją uznać za najmniej pożyteczne rzemiosło.

Musiał być silny zapał w młodzieńcu dla sztuki, gdy wpłynął na ojca tak, że pomimo tych odradzań i pomimo własnego wstrętu do poświęcenia syna zawodowi artystycznemu, zezwolił przecież na to, aby Jan uczęszczał do szkoły malarstwa. Sposób nauczania, jako też postępowanie nauczycieli, były dla ucznia raczej zniechęcające, niż ponętne, chociaż nie można zaprzeczyć, że metoda jakiej znany *Statler*, wówczas professor malarstwa, używał, była gruntowną. Nie była ona zapewne ponętną dla ucznia, który zaprawił się do rysunku kompozycyjnego, przez kopjowanie rycin do Spiewów historycznych Niemcewicza. Rysowanie najpierwej linij jajowatych, następnie pojedynczych części ciała ludzkiego, podług odlewów gipsowych, dalej antyków, głów, aż do żywego modelu, przez pierwszych kilka lat, tłumiło w uczniu wrący zapał do kompozycji. Byłoby to zadawalającem dla mniej twórczych umysłów, w których może przez to naśladowanie martwych wzorów wyrobiła się zdolność drzemiąca w głębi umysłu. — Dla twórczego jednak ducha, jaki ożywiał Matejkę, było to tem samem, co dla muzyka, który już probował nucić lub wygrywać całe dzieła muzyczne, lub nawet tworzyć takowe, nauka skali i gamy, a choćby nawet kontrapunktu,— lub dla poety nauka gramatyki i stylistyki. Dla miernego, budzącego się talentu, mogło to być wielką zachętą, gdy po kilku latach rysowania pokawałkowanych części ciała z odlewów, nareszcie z żywych modelów, dozwolono mu malować z przyrody pojedyncze przedmioty, owoce, ptaki i t. p. od czego dochodził przyszły artysta wreszcie do za-

szczytu malowania głów starców, półpostaci nagich, do których przyczepiano wedle okoliczności nadającą się nazwę.

Cóż wtedy czynił Matejko?

Stósował się do karności artystycznej szkoły, i nie gardziła ta ręka, co kiedyś miała odzierżyć berło w malarstwie, poziomém ćwiczeniem elementarném. Umysł jego przeczuwał bezsprzecznie ważność dydaktyczną nauki elementarnej i pedagogiczną ważność wdrażania młodego artysty w karby prawideł, które stanowią jakoby rusztowanie wielkiej świątyni sztuki, mającej mu stanąć kiedyś otworem, jako jednemu z kapłanów, aby przyozdobić swoje przybytki jego dziełami. Ów „duch Boży” który go namaścił na historycznego malarza, natchnął go myślą, że oprócz nauki owej wykonawczej, oprócz władania ołówkiem i pendzlem, trzeba jeszcze artyście: myśli, uczucia i wiedzy. Dla tego chwile wolne od szkolnej pracy, poświęcał nauce, która w każdym zawodzie jest „nauczycielką życia” (vitae magistra)—nauce historji.

W szkole wszelako nie poznał się Statler z razu na talencie młodego ucznia, którego niezbyt ujmujące zachowanie się, tak w obec uczniów jak i nauczycieli, nie zjednywało mu bynajmniej wielkiej przychylności, tem bardziej, że krótki wzrok Matejki zdawał się nauczycielowi być bardzo ważną przeszkodą w postępie artystycznym. Dostawało się też Matejce zwykle niekorzystne miejsce przy modelu, tak dalece, że nieraz musiał sobie szkłami pomagać.

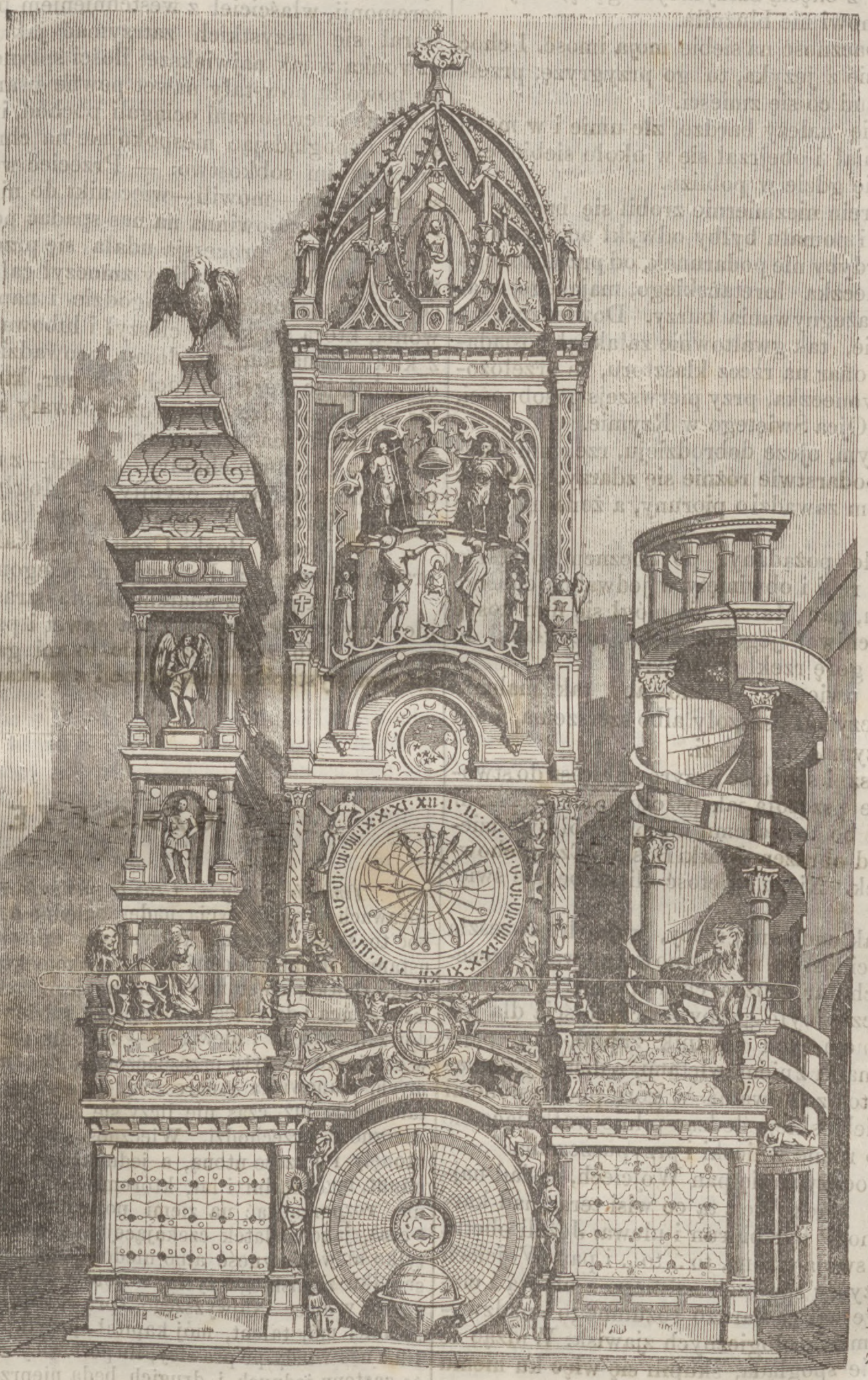
Obok najsumienniejszej pracy i wzorowej pilności w szkole, obok studjów teorji, znalazł Matejko przecież jeszcze w domu dosyć czasu na to, aby spróbować sił swoich w kompozycji i malarstwie historyczném. Pierwszym tego usiłowania owocem, był obraz przedstawiający jednę ważną chwilę z czasów panowania Zygmunta III-go.

Odtąd przestał ojciec Matejki patrzeć nieufném okiem na prace syna, a nareszcie zaczął i w szkole prof. Łuszczkiewicz, który był następcą Statlera, uznawać w nim wyższy talent. Pracując swobodniej już w szkole, brał się Jan coraz gorliwiej do olejnego malowania w domu. Drugą pamiątką z tych prac domowych, był mały, olejny obrazek, przedstawiający *Wjazd Henryka Walezego do Krakowa*, wykonany w r. 1855.

Odtąd już każdy rok odznaczał się nowemi utworami, które mu zjednywały stopniowo coraz większe uznanie i wziętość.

Zaraz w następnym 1856 roku, powstał obraz przedstawiający *Jagiełłę modlącego się pod Grunwaldem*. Obrazek ten, lubo w domu wykonany, został przecież przyjęty na wystawę szkolną. Z tego samego roku pochodzi także pierwszy portret Matejki, a mianowicie, jest to gruppa portretów przedstawiających rodzinę malarza (ojca, siostrę, młodszego brata i jego samego).

(d. n.)



Zegar Strasburgski (do Str. 7).

PANSTWO MARCINOSTWO.

Obrazek z zaścianka szlacheckiego

przez

J. K. Gregorowicza.

I.

Ktož nie zna wiosek zamieszkałych przez tak zwaną drobną szlachtę, herbową i dziedziczną, od dziada pradziada? Z pozoru nie wyróżniające się niczem od osad włościańskich, przystrojone drzewiną, poprzedzielane płotami, pod słomianym lub gontowym dachem, pod siermięgą mieszkańców, całe lato na bosaka krzątających się około gospodarstwa — tyle mieszczących w sobie pychy i narowów, tyle prostoty, cnót domowych, pojęć spaczonych i przekroczeń ztąd płynących, że stanowią jakby odrębną społeczność,— szczelnie zamkniętą w duchu zmarłej przeszłości. Zabarykadowani, nie z własnej winy, przed prądem cywilizacyjnym, unikający stosunków z ludem wieśniaczym, a chciwie podglądający życie dworów wioskowych, gardzą pierwszym a garną się do drugiego, przejmując mimowoli tak od jednych jak drugich to, co odpowiada więcej ich usposobieniu, co silniej oddziaływa na ich pragnienia i wyobrażenia.

Pan Marcin, był to szlachcic jeden z zamożniejszych: trzywłókowa jego fortuna nadawała mu znaczenie, jakiego inni nie mieli, a choć wszystko prowadzone było w niej dawnym obyczajem, trzypolówka jednak doglądana i uprawiana starannie, dawała mu chleba po uszy, dozwalając nawet robić pewne oszczędności. Pan Marcin też według ograniczonych potrzeb, nie żałował sobie niczego. Chodził sam za pługiem, jeździł po drzewo do lasu, woził zboże na targi publiczne, a gdy zmachany pracą powracał do domu, zawsze go czekał mięsny posiłek, obfity i smaczny, który spożywał w oddzielnej izbie, zdala od gawiedzi służbowej, złożonej z parobków i dziewek, z włościan zwerbowanych. Nasyciwszy się, zapijał butelkowém piwem, sprowadzoném na zapas z sąsiedniego browaru, a w dniach uroczystych lub odznaczających się jaką pomyślnością w gospodarstwie, do jakich liczyły się: powiększenie obory, stajni lub małej gromadki owiec, nowo narodzonym przybyszem, nie żałował sobie sporej miarki miodu, syceniem którego sam się zajmował, ze sławną na całą wioskę umiejętnością.— Wysoki, krzepki, barczysty, przy pracy krzątał się w prostej szacie, ale zawsze miał buty na nogach, a na głowie wysoką czapkę sukienną, z pewną fantazją na bok przechyloną. Na święto lub do miasta ubierał się w sukienną kapotę i przepasywał włóczkowym pasem, z końcami starannie na wierzch wyłożonemi. Gdy był w dobrym humorze, czapkę przerzucał aż na ucho. W gniewném usposobieniu, pokręcał szpakowatego wąsa, krótko obciętego, i szepnąwszy: mospanku, klął siarczystemi piorunami, czego słuchając pani Marcinowa, zatykała uszy i pobożnie się żegnała.—Były to jednak chwile krótko trwające. Pan

Marcin po każdym podobnym wybuchu prędko się uspakajał, a pani Marcinowa, korzystając z upamiętania, występowała zwykle z perorą.

— Że też jegomość nigdy folgi nie daje gniewowi. — Wyzywać gromy niebieskie, gdy się ma własną chudobę, a to po co, a to na co? A nużby który, wywołany słowami jegomości, spadł na nasze dachy, ot! i byłoby nieszczęście.

— A niech go tam śnieg spali....

— Śnieg, a to co innego, ale... Boże odpuść, piorun i do tego siarczysty, to aż mrowie po skórze chodzi. Kiedy chmury wałkują się na niebie i burczy coś w nich i szumi jak woda w młynie na koła spadająca, to wtedy jegomości z chęcią zaszyłabym gębę, aby ta, lękam się, w złą godzinę piorunowi nie bluźniła.

— Ja też wtedy mam baczność na siebie moja imość. I choć klęcie piorunami wymyka mi się z języka, to go przygryzę, przełknę i tylko w myśli nasadzę niemi co się zmieści.

— I z tem wojować nie należy bardzo, złe umie i w myśli czytać. Pan Marcin aż pokraśniał i obejrzał się w około siebie, czy jaki kusy djablik nie znajdzie się gdzie w pobliżu.

Od tego czasu, pan Marcin niezmiernie zrobił się baczny na wszelkie gniewne przypadłości i pomału byłby odwykł od wywoływania siarczystych piorunów, gdyby nie podarunek, od przełożonego klasztoru Bernardynów, dzwoneczka loretańskiego, mającego własność rozpraszania chmur i zażegnywania burzy. Dowiedziawszy się o jego cudownym przymiocie, tak gwałtownie załaknął posiadania go, tyle zrobił szczodrych ofiar na rzecz klasztoru, że przełożony przyrzekł sprowadzenie dzwoneczka, przy pierwszejs posobności, i to poświęconego ręką samego Ojca Świętego w Rzymie.

— Człowiek jest grzesznym, ojcze dobrodzieju, rzek mu dziękując za obietnicę. Przy gospodarstwie różnie się zdarzy, gęba nie głowa, gada a nie myśli i czasem zawadzi o pioruny, a żona mówi że z tego może jakie złe wypaść.

Kiedy wreszcie dar tyle pożądany, po rocznem przeszło oczekiwaniu, dostał się mu do ręki i obwinięty w jedwabną chustkę przywieziony został do domu, pan Marcin nie mógł się nim dosyć nacieszyć. — Oglądał, nadsłuchiwał jego dźwięku, przykładał do uszów i wreszcie podnosząc w górę rzekł do żony:

— Moja imość, prawie uwierzyć trudno aby taki maleńki dzwoneczek, co nie lepiej brzęczy od pszczoły albo szerszenia, mógł chmury rozganiać i pioruny trzymać na uwięzi.

— Co też jegomość gadasz i świętość przyrównywasz do stworzeń takich marnych. Jeszcze pszczoła jak pszczoła, ale szerszeń? Daj jegomość zabawce pokój, bo to staremu nie przystoi być dzieckiem. Lepiej wbij pułeczkę pod obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej i postaw na niej dzwonek. Niech świętość bliska będzie świętości.

Wieść o dzwoneczku tak cudownej mocy, w prędce rozeszła się po wsi całej i państwo Marcinostwo nabrali nowej powagi, szczególniej w czasie zbierania się chmur grożących na niebie. Pierwsze urzędowe wystąpienie dzwoneczka było jakby uroczystością dla wsi całej, która się zbiegła tłumem pod okólnik zabudowań państwa Marcinostwa. Były tam matki z niemowlętami, a dziatwy chmara nieprzeliczona, wszystko to z głowami w górę podniesionemi przyglądało się przestrzeni niebieskiej, śledząc pilnie wałkujące się po niej chmury i robiąc z tego różne wnioski i przypuszczenia.

— Jeżeli ta z nad lasu, odezwał się pan Wojciech, sąsiad najbliższy państwa Marcinostwa, złączy się z tą co wisi teraz nad karczmą, to mości dobrodzieju, może być piorun i ulewa. Jeżeli obetrą się o siebie i pójdzie każda w swoją stronę, to .. to... i pan Wojciech znacząco pokręcił głową. Wszyscy spojrzeli na niego z obawą i ciekawością. Uchodził bowiem we wsi za bardzo rozumnego i nadzwyczajnego znawcę wszystkich meteorologicznych zjawisk. Widząc że w milczeniu bacznie po niebie spogląda, skupili się więc ku niemu i kilka głosów zawołało natarczywie!

— To cóż panie Wojciechu?—to cóż?

Pan Wojciech pokręcił głową, podniósł ramiona, machnął ręką i wymówiwszy, ba! przeszedł do innej gromadki. Pytający pozostali w miejscu z ustami otwartemi, nie śmiejąc niemal odetchnąć, a tembardziej domyślać się i wnioskować, aby broń Boże, jak mówili, wilka nie wyciągać z lasu.

Wtem, w drzwiach dworku pokazała się sama pani Marcinowa, z dzwoneczkiem w górę podniesionym, a oczami pobożnie ku ziemi spuszczonemi, w otoczeniu dwóch swoich córek, dziewczynek kilkunastoletnich, które z obu stron matki trzymając się jej fartuszka, wyglądały niezmiernie powabnie, nęcąc do siebie oczy, zarówno wdziękiem urody, jak młodości. Gromada ciekawych a gwarzących zaraz umilkła, rozstąpiła się i potem całym tłumem ruszyła za pobożną grupą z trzech kobiet złożoną.— Postanowiono obejść całe błonie wiejskie. Były wprawdzie głosy żądające odbycia pochodu naokoło wsi całej, ale czas był już zbyt krótki a chmury za groźne, aby cudowny wpływ dzwonka przedłużyć. W tak więc krytycznej chwili, zgodzono się wreszcie na obejście tylko błonia wiejskiego, jako wspólnej własności wszystkich, dotykających koleją każdej posiadłości oddzielnie.

Z gromadnem śpiewem psalmu: *Kto się w opiekę poda Panu swemu*, tłum szlachecki wyruszył w pochód. Pan Marcin szedł na czele. Przed każdą osadą zatrzymywano się chwilkę i wtenczas pani Marcinowa dzwonkiem poruszając w różne strony, jak kadzielnicą, odzwaniała ją, pragnąc dźwiękiem otoczyć wszystkie budynki, niby murem fortecznym, przed gromem niebieskim. Przy każdej takiej ceremonji, właściciel z westchnieniem przyklękał i bijąc się w piersi starał się wszystkich zatrzymać jak najdłużej, aby siła cudowna dzwonka w jak największej ilości spłynęła na jego domostwa. Z tego powodu powstały nawet pewne swary i nieporozumienia, bo gdy głównie interesowani ociągali pochód, inni radzi byliby go przyspieszyć, i spoglądając niespokojnie na chmury, łajali pierwszych, wyrzucając im sobkostwo: — Przecież wszyscy żyjemy w braterstwie szlacheckiém—mówili—więc nikt do niczego nie ma pierwszeństwa, i każda rzecz powinna na nas spadać po równości.

Pobożna processja udała się przewybornie. Chmury rozeszły się i tylko deszcz kroplisty zmoczył całą gromadę, ustępując wprędce miejsca słonecznej pogodzie i napawając powietrze ożywioną wonią, którą się każdy cieszył i lubował. — Pan Wojciech wracając z kilku sąsiadami do domu, prowadził badzo ożywioną rozmowę, opowiadając wszelkie ruchy chmur, ktore widocznie w miarę ulegania wpływowi dzwonka, rozstępowały się, usuwały i krusząc na połowy, traciły na swej mocy.

— Te dwie chmury—mówił—z nad karczmy i lasu, najwięcej mnie niespokojnym czyniły. — Mogły z nich przy zetknięciu albo wypaść pioruny, albo grad jak włoskie orzechy...

— Matko Boska Częstochowska! — przerwano z największym przestrachem — a dla czego nam jegomość tego nie powiedziałeś?

— A po cóż miałem darmo straszyć?—Umilkłem więc, lękanie ukryłem w sobie, a z ust nawet i pary nie wypuściłem.

— No, że to rozumnie, to ani gadać; ale dla czego pani Marcinowa wystąpiła w assystencji z córkami?

(d. c. n.)

CZAS I ZEGARY.

Times is money -- *Czas to pieniądz* — mówią poważni, we wszystkich sprawach swojego życia nader oględni Anglicy. I mówią bardzo słusznie, boć to skarb, kapitał, którym się człowiek od kolebki aż do grobu bezustannie dorabia; to oś główna, około której obraca się wszystko, co go tylko spotka, co stanowi osnowę jego bytu. Dziecię, w czasie wyrasta na młodzieńca i dziewicę; młodzieniec i dziewica w czasie wykształcają się na dojrzałego męża i niewiastę— dojrzali, pełnią czynnego żywota dobijają się w czasie do szczytu przeznaczonego im, lub przygotowanego przez się samych, stanowiska i nareszcie, w czasie, zstępują znowu za ojcami swymi tam, gdzie już czas nie liczy się na minuty, godziny, dnie i lata, ale na wieczność przechodzi. Wieczność, to odchłań, w której niezliczone wieki utonęły i jeszcze utoną, a jednakże ta wieczność składa się z tych samych minut, godzin, dni i lat, któremi nam śmiertelnikom Wszechmocny dowolnie rozporządzać na ziemi pozwolił. Bóg dając nam życie, dał zarazem i czas, jako zadatek czekającej nas wieczności. Zadatek to tak ważny, iż tylko niewdzięczność albo niedołęstwo nasze mogą go zmarnować, by przy schyłku ziemskiego życia, a potem przy sumiennem obrachunku spraw naszych, w obec Najwyższego, sprawiedliwego sądu, przyznać się otwarcie: „Panie! mój talent, mój kapitał spożytkowałem lub zakopałem w ziemię.“ Ilu z nas wtedy po prawicy, ilu po lewicy stanie, zobaczymy. Nam się zdaje: że zastępy jednych i drugich będą nieprzebrane,—nieprzebrane jak dobre chęci ludzi, uważających pracę za swoje wyłączne na ziemi zadanie, jak źle skłonności ludzi, niepojmujących znaczenia tejże pracy, którzy w obec ostatecznego sądu z próżnemi, załamanemi rękoma, z rozpaczą w sercu i trwogą w duszy oczekiwać będą strasznego wyroku nagrody lub potępienia.

Przeznaczeniem człowieka jest praca, a praca ta opiera się na czasie, którego każda chwila staje się umiejętnie spożytkowaną, albo też szalenie trwonioną cząstką fundamentalnej podstawy jego pomyślności. Dla tego też w życiu wszystkich ludzi pracy jakiejkolwiek, bądź umysłowej, bądź fizycznej, widzimy, jaką oni wartość do czasu przywiązują; gdy tymczasem inni, którzy przyszłość swoję i powodzenie nie na własnej, osobistej budują zasłudze i pracy, lekceważą go sobie tak dalece, że dla nich godziny, dnie i lata całe przechodzą w bezczynnem marnotrawstwie tego drogiego skarbu. Pierwsi, to są ludzie pojmujący swoje przeznaczenie i cele do jakich Bóg ich stworzył; drudzy, to bezmyślne istoty, których życie żadnego społeczności nie przynosi pożytku.

Jak umiejętny podział czasu jest niezbędnym w życiu ludzkiem, prze-

konywamy się ztąd, że od najdawniejszych już wieków szukano rozmaitych sposobów jego mierzenia. W pierwszej, ciemnej jeszcze epoce, kiedy ludność wątłemi krokami postępować zaczęła na drodze swego rozwoju, kiedy nauki jeszcze były w kolebce, a jednak zachodziła potrzeba odróżniania pewnych wydatniejszych chwil codziennego żywota, słońce stanowiło jedyny czasomierz. Jego wschód, podnoszenie się i zniżanie na firmamencie, nareszcie zachód, były jedyną miarą płynącego czasu. W Indjach, śród bogatej, pod jego złotemi promieniami, przyrody, zauważono, że niektóre kwiaty w pewnych tylko porach dnia rozwijają się, więdną i opadają, więc też one posłużyły tamecznym mieszkańcom za wskazówkę do oznaczania nietylko chwil dziennych, ale nawet i pór roku. Niemowlęce to jeszcze były usiłowania, a jednak one doprowadziły z kolei do wynalazku zegarów słonecznych, który Haldejczykom czy też Egipcjanom zawdzięczamy. Utrzymują nawet, że piramidy egipskie, w zasadzie swojej są tylko wskazówkami ogromnych linij południkowych, opartych na podziale dnia, za pomocą cienia pionowo utkwionej igiełki. Ulepszone zegary słoneczne, dotąd jeszcze używane do prostowania niedoskonałości narzędzi matematycznych, mogły tylko we dnie być używanemi, w nocy zaś, oznaczano godziny jedynie sposobem przybliżonym, za pomocą śledzenia biegu gwiazd lub księżyca, o ile niebo było pogodnem, tudzież o ile gwiazdy i księżyc mogły być przystępnemi dla oka ludzkiego. Takowe niedostatki zegarów słonecznych, spowodowały wynalazek zegarów piaskowych i wodnych, czyli tak zwanych klepsydr, które przesypując drobniutkie ziarnka piasku, lub przelewając cieniuchną niteczkę wody, z jednego naczynia do drugiego, oznaczały dosyć dokładnie ubiegające godziny. Tego rodzaju narzędzia, pomimo że one głębokiej sięgają starożytności, dotąd jeszcze napotkać możemy, niemal w pierwotnej ich postaci, chociaż greccy mechanicy takie zegary wodne udokładnili dodaniem tarczy i wskazówki, a podobno nawet jeden z nich przy użyciu kółek, ciężarem wody poruszanych, oznaczał nietylko godziny, ale dnie, miesiące i znaki zodjakalne.

Pośród tych wynalazków starożytności w wielkiem zadaniu mierzenia czasu, miał być podobno wynalazek Archimedesa, który, jak powiadają, wystawił zegar, o wiele do dzisiejszych zegarów zbliżony, bo poruszany ciężarem i sprężynami.

Potem już długie wieki upłynęły, bez żadnego prawie postępu w sztuce zegarmistrzowskiej, aż dopiero w ósmem stuleciu naszej ery, chiński astronom Hang zbudował klepsydrę, na której oznaczył ruch słońca, księżyca i pięciu planet, oraz ich zaćmienia i przejścia przez słoneczną tarczę. Dwie oddzielne na tej tarczy wskazówki wymierzały: jedna, setne części doby, druga godziny, wybijane przez dwie osóbki młotkiem, na metalowym dzwonku. Jednocześnie prawie, bo w IX wieku, Kalif Harun-al-Raszyd miał ofiarować Karolowi Wielkiemu wspaniały, złotem nabijany zegar miedziany, wskazujący godziny, a poruszany za pomocą kółek. Mechanizm jego był, jak utrzymują, niezmiernie skomplikowany; gdyż w chwili, kiedy wskazówka godzinna dochodziła do odpowiedniej liczby, tyleż metalowych kulek spadało kolejno na dzwonek, a z dwunastu okienek występowało dwunastu uzbrojonych rycerzy, którzy po kilku obrotach, chowali się znowu w swoich niszach. Tegoczesny prawie zegar arcybiskupa Werony, sławnego Pacyfika, wskazujący prócz godzin, dnie i zmiany księżyca, był także przedmiotem powszechnego podziwu. Ale wszystko co dotąd w sztuce zegarmistrzowskiej uczyniono, zawsze jeszcze opierało się na głównym motorze, wodzie, gdyż ciężary i sprężyny Archimedesa, poszły w zapomnienie, a *wychwyt*, tak ważną grający w niej rolę, dotąd wynalezionym nie został.

Koniec dopiero X wieku wprowadził na tron papieski biednego niegdyś pastuszka Gerberta, słynnego potem w kościele naszym Sylwestra II. który zajmując się dla rozrywki mechaniką, a szczególniej zegarmistrzostwem, zastosował do niego działanie ciężarów, a co najważniejsza, wynalazł wychwyty. Odtąd też chronometrja zaczęła coraz widoczniejsze czynić postępy, tak dalece, że w trzynastym i czternastym wieku, już niejedno miasto europejskie cieszyło się posiadaniem zegarów, zdumiewających budową swoją ciekawych mieszkańców. Arcymistrzami w tej sztuce byli szczególniej Włosi i Francuzi, których słynne utwory były ozdobą takich miast, jak Padwa, Metz, Sous, Auxerre, Wenecja i Lund w Szwecji.

Katedra Strasburgska, po zniszczeniu pierwszego niezmiernie kosztownego i sztucznego zegaru w r. 1547, zdobyła się wkrótce na drugi, zbudowany przez najsławniejszego w całej Europie zegarmistrza Izaaka Habrecht z Szafuzy, pod kierunkiem Konrada Dassypodiusa, professora przy miejscowym uniwersytecie.

Zegar pomieniony, (którego drzeworyt tu załączamy, str. 5) składa się z trzech piętr. Pierwsze, najniższe, obejmuje glob astronomiczny, spoczywający na grzbiecie pelikana, obracający się w przeciągu jednej doby, przedstawiający wschód i zachód słońca i księżyca, tudzież ruch sił niebieskich, za pomocą kółek i sprężyn w owym pelikanie ukrytych. Tarcza umieszczona za globem, podzielona jest na trzy części, z których największą obejmuje wieczysty kalendarz, wskazujący miesiące, tygodnie i dnie. Boki kalendarza zdobią posągi Diany i Apolina, z których pierwszy wskazuje strzałą bieżący dzień roku, drugi palcem naznacza dzień zamykający półrocze. Ta część obraca się z lewej ku prawej stronie raz do roku. Część zaś druga, obracająca się przeciwnie, raz w sto lat, przedstawia sto równych podziałów, obejmujących lata, od 1573 do 1673. Dzisiaj ta część jest bezużyteczną, ponieważ wskazując zarazem rok od stworzenia świata, porównanie dnia z nocą, datę Wielkiejnocy i Adwentu, lata przybyszowe i t. d. ma za podstawę kalendarz Juljański, wyszły z użycia.

Środkowe koło tarczy, składa część trzecią, mieszczącą na sobie mappę ówczesnych Niemiec, plan Strasburga i nazwiska budowniczych zegaru. Cztery rogi tego piętra wyobrażają cztery pory roku, w postaciach czterech wieków człowieka.

Drugie, czyli środkowe piętro, podpierają dwa lwy. Po lewej ręce wznosi się wieżyczka zawierająca ciężary i ważniejsze koła obrotowe, po prawej zaś wiją się kamienne schodki prowadzące do wnętrza zegaru. Sam środek zajmuje właściwy zegar, wskazujący sekundy, minuty i godziny.

Trzecie nareszcie piętro, zdobią cztery figury obracające się, które wybijają kwadranse. Nieco wyżej Zbawiciel i śmierć stoją po bokach dzwonu, do którego śmierć zbliża się co kwadrans, lecz odpychana przez Chrystusa, same tylko godziny wybija.

Całość tę wieńczą piękne łuki gotyckie, z pośród których zegar grający oddaje od czasu do czasu dawne śpiewy niemieckie.

Szczyt lewej wieżyczki zajmuje kogut mechaniczny, jako pozostałość poprzedniego zegaru, który po odezwaniu się grającego przyrządu, trzepoce skrzydłami i pieje dwukrotnie głosem naturalnym.

Wspaniały ten pomnik sztuki szesnastego wieku, dziś jeszcze powszechne budzący uwielbienie, zachowany jest doskonale, i dziś nawet, pomimo klęsk jakie Strasburg w toczącej się obecnie wojnie poniósł, nie doznał żadnego uszczerbku. Zdaje się, że nawet kule nieprzyjacielskie chciały oszczędzić to arcydzieło mechaniki.

Od wzniesienia tego zdumiewającego dzieła, sztuka zegarmistrzowska już z każdym niemal rokiem nowe czyniła postępy, i dziś widzimy do jakiego doszła stopnia, kiedy utwory jej, które niegdyś na wagę złota opłacać wypadało, obecnie przystępnemi są niemal dla każdego, w miarę używanych do niej materjałów. Anglja i Szwajcarja dostarczają światu najlepszych zegarków kieszonkowych.

Oskar Stanisławski.

WIĄZANKA.

Jeszcze się ten nie urodził, coby wszystkim dogodził. Przysłowie to z całym jego sensem moralnym, z bajką o młynarzu, synu jego i ośle, można zastosować do każdej prawie czynności człowieka, a przedewszystkiem do stosunku zachodzącego pomiędzy jakąkolwiek redakcją pisma perjodycznego a pseudo-krytyką i prenumeratorami. Weźmy naprzykład tych ostatnich. I tak, jeden z nich woła:

— Powieści, powieści! dajcie nam powieści!

— Za pozwoleniem, odzywa się drugi. Co mi tam po powieści; powieść chleba nie da, a ja jako rzemieślnik radbym przeczytać coś o rzemiosłach, o technice, mechanice lub naukach przyrodzonych.

— A to kara Boska, zaczyna trzeci. Cóż to, do miljon furbeczek, za moje własne pieniądze będą mnie rzemiosła uczyć? Nie pozwalam — i kwita. A ziemiaństwo, a rzeczy gospodarskie, a akcyza i propinacja — dla czego o tém nie piszecie?

— Przepraszam szanownego pana, wtrąca się czwarty. Czyby nie można, zamiast powieści, poezyj i tym podobnych światowych rzeczy, drukować rozpraw i nauk moralnych, kwestyj religijnych, kazań i pieśni nabożnych, bo moralność i religja to grunt!

— Nieznośni! odzywa się piąty. Zabiją nas tą prozą. Gdybym był redaktorem, drukowałbym same tylko poezyje i dramaty.

I rób tu teraz co chcesz.

No, ale to jeszcze pół biedy. Ciekawy jestem jak się też czytelnikom spodoba następujące listowne znalezienie się prenumeratora:

— Szanowny Redaktorze! Ponieważ już cztery razy zapytywałem się pana o doniesienie mi, jakim sposobem znaczy się porcelana, — gdzie najlepszych można dostać stambułek—i na której ulicy mieszka teraz dawny mój faktor Szlama Ceber, a pan nie raczyłeś mi ani na jeden list przysłać odpowiedzi, a zatem mam honor oświadczyć mu, iż od dnia dzisiejszego kwita z przyjaźni i z prenumeraty. Nie naprożno przecie płacę kwartalnie rubla, kopiejek dwadzieścia.

Albo to:

— Szanowny Panie i Dobrodzieju. Zawiodłeś mnie pan okropnie. Przez pół roku żona moja i córki męczyły mnie ciągle żeby im kupić coś.... coś... pysznego na gwiazdkę. Na początku Grudnia tak mnie natarły, że panie dobrodzieju, nie było ratunku, musiałem się poddać i obiecać tego przeklętego cosia. Tandem wyjmuję 50 rubli, i jako nieznający się na niewieścich gustach i sztukach pięknych, cichaczem przesyłam ci je, Mości dobrodzieju, abyś mnie, jako swego prenumeratora, w tej delikatnej sprawie, ku wielkiemu zadowoleniu kobiet, wyręczyć raczył. W wigilją wigilji odebrałem od pana dobrodzieja pocztą, w pudle, potężny pakiet. Zatarłem z radości ręce, widząc jak połowica moja z Sabcią i Bibcią, skacząc około nieotworzonego jeszcze corpus delicti, wykrzykują:

— Tumaki!

— Materje jedwabne!

— Trzewiczki z kutasikami!

— Kapelusze!

— Koki!!

Pomyślałem sobie: bodajto być literatem. Wszystko wié, na wszystkiem się zna i wszystkim, a szczególniéj kobietom, potrafi dogodzić. Niestety, zawiodłem się na panu dobrodzieju haniebnie. Po odbiciu pudła pokazało się żeś pan do niczego niezdatny. A to skaranie pańskie! Zamiast tumaków, jedwabnych materyj, trzewików z kutasikami, kapeluszy lub koków, przysłałeś mi pan co? Jakąś Ekonomją polityczną, Literaturę

Wójcickiego, Historją Powszechną, jakieś poezje Pola, Syrokomli i Lenartowicza, jakąś Historją naturalną, jakiegoś Flamariona i tym podobne bzdurstwa! Chryste Panie, i to wszystko za moje krwawe 50 rubli! Ha, jakbym je w błoto rzucił—stracone! Żona i córki na ten widok zemdlały i do dziś dnia leżą chore. Oj, mam ci ja tu teraz za swoje, mam. Istne piekło w domu. Żeby je ułagodzić, muszę znów wyliczyć, ale już najmniéj 100 rubli. A czasy tak ciężkie. Panie, gdybym cię miał w tej chwili!.. spaliłbym cię, wraz z twemi książkami. A że tego obecnie uczynić nie mogę, więc jeśli jesteś kawalerem, życzę ci żebyś się ożenił i znalazł się w takiem położeniu jak ja obecnie, a będę miał zupełną satysfakcją. Nim to jednak nastąpi, zrzekam się raz na zawsze pańskiego pisma, pańskiéj gwiazdki i jakiegokolwiek bądź pośrednictwa.

Chciej tu teraz ludziom dogodzić.

Ciekawy jestem bardzo co ci panowie, a jest ich niemało, rozumieją sobie przez wyrazy: *literatura*, *redakcja*, *pismo perjodyczne*? Co rozumieją? rzecz wcale niebudująca choć śmieszna. Ale że źle rozumieją, to więcej jak pewna. Od takiego rozumienia nadal, uchowaj nas Panie!

Dziwimy się często, dla czago u nas poważna piśmiennictwa niwa tak zaniedbanym leży ugorem. Dziwimy się dla czego wszystkie pisma perjodyczne, począwszy od *Biblioteki Warszawskiej* a skończywszy na *Kurjerze Lubelskim*, fraszkami, powiastkami i tym podobnemi artykułami zapełniają swoje ramy, mogące być zadrukowanemi czemś prawdziwie dobrem i pożytecznem. Dla czago *Biblioteka Warszawska* nie jest już dziś tem czem była dawniej? Dla czego obecnie tak rzadko, niby meteory, ukazują się nowe, pouczające, wielkiej wartości książki? Odpowiedź niebardzo trudna. Pominąwszy kilka niezależnych od nas przyczyn, największą winą pod tym względem, jest wina całego naszego społeczeństwa. Troska o byt powszedni tak nam zajechała w głowę, że oddajemy jej całą naszą istotę, z poświęceniem koniecznych potrzeb ducha. Karmiąc i strojąc ciało, zapominamy o umyśle. A jakim jest ogół społeczeństwa, taką jest i jego literatura, takiemi są i płody literackie. Nic więc dziwnego: że powieść, fraszka i farsa tak się pomiędzy nami rozgościły. Niedaleko jabłko pada od jabłoni. Proszę się tylko przypatrzeć, co najprzód czyta prenumerator, po odebraniu jakiegokolwiek pisma perjodycznego. Rozumie się że gawędkę, dykteryjkę, humoreskę a niekiedy nawet i wiersze. Co zaś do życiorysów znakomitych ludzi, studjów artystycznych i naukowych, krytyk, rozpraw, rzeczy społeczno-ekonomicznych, te jako zbyt ciężkie i poważne, odkładają się na potem, do nieskończoności i najczęściej wcale się nie czytają. Jaka przeto nauka takie i jej skutki. Nie czytając lub mało czytając artykuły i dzieła naukowe, przyczyniamy się do ich upadku, do coraz rzadszego ich ukazywania się, a bezpośrednio do upadku literatury i ogólnego ukształcenia w dziedzinie prawdziwej wiedzy.

FRASZKA



Panicz po powrocie z zagranicy.

— Proszę ojca, co to za ptaki które Kaśka pędzi?...

— Ha, hultaju ty jakiś:—to Kaśkę poznałeś, a gęsi poznać nie możesz!—

I gdyby jeszcze nie te powieści, powiastki i humoreski, to kto wie, czy większa część z nas nie zapomniałaby czytać. Czytamy dla tego żeby się bawić, a o nauce i jej korzyściach nie myślimy na serjo. Kto na tem traci? Rozumie się że my sami. A przecież minął już wiek złoty i uczyć się trzeba. Pieniądze wyrzucone na tumaki, materje jedwabne, trzewiki z kutasikami, koki, karety, bale i wino, oddajmy na kupno dzieł pożytecznych i naukę, a będziemy mieli tę wewnętrzną pociechę i zasługę, że grosz krwawo zapracowany podniósł nam upadającą literaturę i oświecając nasze umysły, podniósł także naszę godność i szczytne stanowisko ludzkie. Tumaki, jedwabie, wino, karety i rozrzutność, nie stanowią jeszcze człowieka. Nauka i wiedza dopiero go wywyższają i opromieniają boskości podobieństwem. Chciejmy tylko. Toć jeszcze żyją: *Tyszyński*, *Małecki*, *Ksiądz Malinowski*, *Libelt*, *Wójcicki*, *Józef Przyborowski*, *Węclewski*, *Kraszewski*, *Pol*, *Lenartowicz* i tylu innych pierwszorzędnych pracowników idei oświaty. Chciejmy i dopomagajmy im, prostem tylko kupowaniem dzieł, które nam napiszą, a historja i nawet sami podziękujemy sobie za to. Jeżeli zaś milczą ci posłannicy prawdy i światła, nie dziwmy się, bo z naszej to winy. A trudno znów wymagać aby autorowie dla siebie jedynie pisali i drukowali.

Dixi. Na ten raz, dosyć będzie w tej materji.

Pomimo obojętności ogółu, od czasu do czasu pojawiają się jednak na widok publiczny nowe dzieła, dziełka, przedmioty sztuk pięknych i wydawnictwa. Życzymy im jaknajlepszego powodzenia, choćby tylko za to, że są oznaką niezupełnie jeszcze upadłego u nas ruchu umysłowego. Każda nowa książka, to nowy dowód życia, a życia szlachetniejszego. Przynajmniej z obawy śmierci podtrzymujmy to życie. Wprawdzie niektóre z owych nowości, mówiąc bez ogródki, niewiele są warte, ale... na bezrybiu i rak ryba. Zasługują jednak na uwagę:

Pieśni miłosne Horacego, tłumaczone przez *Klina*. Zarzucić im można zbyt wierne trzymanie się składni pierwowzoru, przez co stają się niejasnemi i chropowatemi. Brak w nich gładkości obrobienia. *Bitwa*, poemat *Sęka*, niefortunnego autora *Zwierząt*. Rzecz niezła i napisana nie bez pewnego talentu, a osnuta podobno na bajce, z obecnej francuzko-pruskiej wojny, o zapadnięciu się łomów kamiennych z całymi pułkami nieprzyjacialskimi.—*Zagrzebani w śniegu*, powiastka *Hoffmana*, dla dzieci, tłumaczona przez *Rzętkowskiego*.— *Tofana*, poemat *Drewnowskiego*. Utwór długi i wcale nie poetycznie obrobiony. — *Historja literatury Polskiej*, przez *Leona Rogalskiego*, w dwóch wielkich tomach. Obszerniejsze sprawozdanie o tej pracy zamieścimy później.—Nakładca *Kłosów* i *Tygodnika Romansów* i *Powieści*, wydaje z początkiem bieżącego roku wszystkie dzieła zmarłego naszego znakomitego pisarza *Józefa Korzeniowskiego*, za cenę rs. 10 dla prenumeratorów powyższych pism, dla nieprenumeratorów zaś, po rs. 2 za tom.—*Redakcja Tygodnika Mód* i *Przyjaciela Dzieci* zniżyła cenę przedpłaty. Tygodnik Mód odtąd kosztuje kwartalnie w Warszawie rs. 1 kop. 50 a na prowincji rs. 2. Przyjaciel Dzieci w Warszawie kwartalnie kop. 75, na prowincji rs. 1. — *Z wydawnictwa M. Dzikowskiego* wyszły z druku dwie książki: *Dziewczyna*, powieść pióra samego Wydawcy, niesłusznie osądzona i potępiona przez niektórych jako niemoralna—i *Mazepa*, znana a znakomita tragedja *Juljusza Słowackiego*. — Niezależnie od tego wydawnictwa, pan Dzikowski wydał prześliczny poemacik, także ze zbioru pism nieśmiertelnego *Juljusza*, pod tytułem: w *Szwajcarji*, za cenę kop. 12½. Mamy nadzieję że ta tania perełka rozejdzie się co do jednego egzemplarza. — Mówiąc o panu Dzikowskim, mimowoli przypomina nam się Nr. 101 *Kaliszanina*. W Numerze tym, jakiś pan *Jan Tań...* w Przeglądzie teatralnym tak się odzywa: „W zeszły czwartek przedstawiono w teatrze komedję p. t. „Miłość i Miłość“ utwor pana Dzikowskiego. Z przykrością doprawdy przychodzi nam wziąć pióro do ręki, aby choć słów kilka o niej powiedzieć. Ramota ta,“ i t. d. Dosyć że niewiadomo z jakich powodów, autor tego artykuliku nie zostawia na powyższym utworze ani suchej nitki. Rąbie w lewo i w prawo, bije, potępia i niby dyktator jaki skazuje go na zapomnienie i zatracenie wieczne. Ależ panie JanieTań... napijmy się zimnej wody i mówmy rozsądnie. Przedewszystkiem musimy czytelników objaśnić: iż nieprawdą jest jakoby wKaliszu grano komedję M. Dzikowskiego p. t. „Miłość i Miłość,“ bo pan Dzikowski nie napisał wcale pod tym tytułem żadnej komedji. „Miłość i Miłość“ jest to *dramat* tegoż autora, drukowany w roku zeszłym w Opiekunie Domowym. Dramat ten granym był już z powodzeniem na scenie Krakowskiej, a niezadługo ma być podobno przedstawionym w Warszawie. Widoczna więc, że pan Jan Tań... sam nie wiedział co pisał. Życząc wszystkiego dobrego Kaliszaninowi, radzimy mu jednak z serca, aby nadal podobnemi *przeglądami* nie psuł sobie imienia i reputacji, bo w ostateczności, nawet sławne akty skruchy i odwoływanie błędów przed publicznością, takiego pana Jana Tań... niby drugiego Gniewosza z Dalewic, nie na wiele pismu przydać się mogą. Naszem zdaniem p. Jan Tań... może być dobrym sprawozdawcą teatralnym, ale... w Rzeczypospolitej Babińskiej.

A teraz choć późno już nieco i choć to nie na czasie, bo w karnawale, jednak podzielić się musimy z czytelnikami smutną wiadomością, jaka w ostatnich czasach świat literacki dotknęła. *Zenon Fisz* (Tadeusz Padalica) którego życiorys w Nr. 47 i 48 Opiekuna Domowego z r. z. zamieściliśmy, po długich i ciężkich cierpieniach przeniósł się do wieczności. — We Francji znów, zmarł przed kilku tygodniami, przez wszystkich nas z dzieł swoich znany, podziwiany a przez niektórych i uwielbiany, stary *Aleksander Dumas*, autor *Muszkieterów* i *Monte Chrysta*, tudzież wielu innych powieści i utworów dramatycznych. Był to pisarz nadzwyczajnie płodny, słynny przytem ze swej oryginalności, zbytku i rozrzutności. △

Do tego N-ru **Opiekuna Domowego**, dołącza się „Illustrowany Kalendarz ścienny“ na I-sze półrocze 1871 roku.

Wydawca, Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою. 18 (30) Декабря 1870 г. — **Redaktor**, Stanisławski Oskar

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. *b*.





1871.







Lipiec ma dni 31.

19	1	S.	Teob. pust. i Teod.
20	2	N.	5 po Sw. *Naw. N. M. P.*
21	3	P.	Heljodora i Anatol.
22	4	W.	Józefa Kalasantego
23	5	S.	Filom. P. i Cyryl. M
24	6	C.	Izaj. Pr. i Dom. P.
25	7	P.	Apollon. i Klaud. B.
26	8	S.	Elżbiety Kr. Wd.
27	9	N.	6 po Sw. Jana z Du.
28	10	P.	Felic. z 7-ma syn.
29	11	W	Pelagji P. Piusa
30	12	S.	Jana Gwalberta
1	13	C.	Małg. P. M. i Anak.
2	14	P.	Bonawen. Kard. D.
3	15	S.	Rozesł. S. Ap. i Hen.
4	16	N.	7 po Sw. N. M. P. Szk.
5	17	P.	Aleks. W. i Berty
6	18	W.	Szymona z Lip.
7	19	S.	Wincent. z Pauli
8	20	C.	Czesł. W. i Hieron
9	21	P.	Praks. P. i Daniela
10	22	S.	Marji Magdaleny
11	23	N.	8 po Sw. Kunegundy
12	24	P.	Krystyny P. M.
13	25	W.	Jakóba więk. Ap
14	26	S.	Anny matki N. M.
15	27	C.	7 br. śp. Natalji
16	28	P.	Inocent. P. i Celsa
17	29	S.	Marty, Seraf. i Olawa
18	30	N.	9 po Sw. Julitty
19	31	P.	Ignacego Lojoli

Święta Izraelskie.

Dnia 1 Szabas 6 Post oblężenia Jerozolimy, 8 i 15 Szab. 19 Rozchodesz czyli 1 Mca Aw, rozpoczynają się dnie Mięsopostu, 22 Szabas Chazon, 27 Tysze-boaw, post zburz. Jerozol. 29 Szabas Nachmi.

Sierpień ma dni 31.

20	1	W.	Piotra w Okowach
21	2	S.	N. M. P. Anielskiéj
22	3	C.*	Znal. ś. Szczep.
23	4	P.	Dominika Wyzn.
24	5	S.	N. M. P. Snieżnéj
25	6	N.	10 po Sw. Przem. Pań.
26	7	P.	Kajetana i Donata
27	8	W*	Cyrjaka i Largu.
28	9	S.	Romana Męcz.
29	10	C.	Wawrzyńca M.
30	11	P.	Zuzanny i Tyburc.
31	12	S.	Klary Panny
1	13	N.	11 po Sw. Hippolita
2	14	P.	Euzebjusza Kapł.
3	15	W.	WNIEBOWZ. N. M. P.
4	16	S.	Rocha Wyznawcy
5	17	C.	Anas. B. i Mirona k.
6	18	P.	Agapita M. i Klary
7	19	S.	Rufina i Benigny
8	20	N.	12 po Sw. Jacka W.
9	21	P.	Joanny wd.
10	22	W.	Tymoteusza M.
11	23	S.	Filipa Benic. Z.
12	24	C.	Bartłomieja Ap.
13	25	P.	Ludwika kr. Franc.
14	26	S.	Zefiryna Pap.
15	27	N.	13 po Sw. Cezar. B.
16	28	P.	Augustyna B. D. K.
17	29	W.	Ścięcie Jana Chrz.
18	30	S.	Felixa kapł.
19	31	C.	Rajmunda Non.

Święta Izraelskie.

Dnia: 2 Chamyszusor dzień radosny, 5 i 12 Szabasy, 12 Rozchodesz, 18 Rozchodesz czyli 1 Mca Ełuł, 19 i 26 Szabasy.

Wrzesień ma dni 30.

20	1	P	Idziego Op. i Wikt.
21	2	S	Stefana kr. Węg.
22	3	N.	14 po Sw. Joachima.
23	4	P.	Rozalji i Róży PP.
24	5	W	Warzyńca Just.
25	6	S.	Zacharjasza Pr
26	7	C.*	†Reginy P. M.
27	8	P.	NARODZ. N. M. P.
28	9	S.	Gorgonjusza M.
29	10	N.	15 po Sw. Im. Marji
30	11	P.*	Teodory i Hjacynta
31	12	W.	Gwidona Wyzn.
1	13	S.	Eulog. i Mauryl. B.
2	14	C.	†Podwyż. ś. Krz.
3	15	P	Nikodema Kapł.
4	16	S.	Cyprjana B. M.
5	17	N.	16 po Sw. rany ś. Fr
6	18	P.	Józefa z Kopertynu
7	19	W	Januarjusza B. M.
8	20	S.	†Eustachjusza M.
9	21	C.	Mateusza Ap. i Ew.
10	22	P.	†Mauryc. M. i Tom.
11	23	S.	Tekli P. M. i LinaP.
12	24	N.	17 po Sw. Władysł.
13	25	P.	Aurelji i Kleofasa
14	26	W.	Cyprjana i Just. M.
15	27	S.	Kozmy i Damjana
16	28	C.	Wacława Kr. Cz.
17	29	P.	Michała Arch.
18	30	S	Hieronima D. K.

Święta Izraelskie.

D. 2 i 9 Szab. d. 10 rozpocz. się ror. trw. do d. sądn. d. 16 i 17 Trąbki czyli Nowy rok 5132 od stwor. świata, d. 18 Post Gedolia, d. 23 Szabas Szuwa, d. 25 Jomkipur czyli Sądny dz. 30 pierw. dz. św kuczek.

Październik ma dni 31.

19	1	N.	18 po Sw. N. M. P. Róż.
20	2	P.	Aniołów Stróżów
21	3	W.	Kandyta M.
22	4	S.	Francisz. Serafic.
23	5	C.	Flawji i Plac. Wyz.
24	6	P.	Brunona Wyzn.
25	7	S.	Marka Pap. i Just.
26	8	N.	19 po Sw. Winc. Kadł.
27	9	P.	Dyonizego B M.
28	10	W.	Francisz. Borgjasza.
29	11	S.	Placydy P. i Zenajdy
30	12	C.	Maksymiljana B.
1	13	P.	Edwarda kr. Wyzn.
2	14	S.	Kaliksta P. M.
3	15	N.	20 po Sw. Jad. i Ter.
4	16	P.	Florentyna i Gawła.
5	17	W.	Wiktora B.
6	18	S.	Łukasza Ewang.
7	19	C.	Piotra z Alkantary
8	20	P.	Ireny P. i prz. ś. Woj.
9	21	S.	Urszuli P. M.
10	22	N.	21 po Sw. Jana Kant.
11	23	P.	Jana Kapistrana
12	24	W.	Rafała Arch.
13	25	S.	Kryspina i Kryspin.
14	26	C.	Ewarysta P. M.
15	27	P.	Sabiny Męcz.
16	28	S.	Szym. i Judy Ap.
17	29	N.	22 po Sw. Narcyza
18	30	P.	Zenobjusza i Zenobji
19	31	W.	†Wolfganga Bisk.

Święta Izraelskie.

Dnia 1 drugi dzień św. Kuczek, d. 2, 3, 4 i 5 wolne św. Chałham, d. 6 św. Hoszano-rabu, d. 7 Szemini aceret, 8 Urocz. Zakonu, d. 14 Szabas, d. 15 i 16 Rozchod. czyli I Mca Marcheszwon, d. 22 i 28 Szabasy.

Listopad ma dni 30.

20	1	S.	WSZYST. SWIĘT.
21	2	C.	Dzień Zaduszny
22	3	P.	Huberta B.
23	4	S.	Karola Boromeusza
24	5	N.	23 po Sw. Op. N. M. P.
25	6	P.	Leonarda pust.
26	7	W.	Engielberta Arcyb.
27	8	S.	4 Koronat. i Godefr.
28	9	C.	Teodora Zoł.
29	10	P.	Andrzeja Awellino.
30	11	S.	Marcina B.
31	12	N.	24 po Sw. Stan. Kos.
1	13	P.	Dydaka Wyzn.
2	14	W.	Serapjona i Klemen.
3	15	S.	Leopołda i Giertrudy
4	16	C.	Edmunda Arcyb.
5	17	P.	Grzeg. Cudot. i Sal.
6	18	S.	Pośw. Koś. ś. Piot.
7	19	N.	25 po Sw. Elżb. ks.
8	20	P.	Felixa Waler.
9	21	W.	Ofiarow. N. M. P.
10	22	S.	Cecylji P. M.
11	23	C.	Klemen. i Lukrecji
12	24	P.	Jana od Krzyża.
13	25	S.	Katarzyny P. M.
14	26	N*	26 po Sw. Konrada
15	27	P.	Barlaama i Waler.
16	28	W.	Rufa M. i Mansweta
17	29	S.	Saturnina B. M.
18	30	C.	Andrzeja Apost.

Święta Izraelskie.

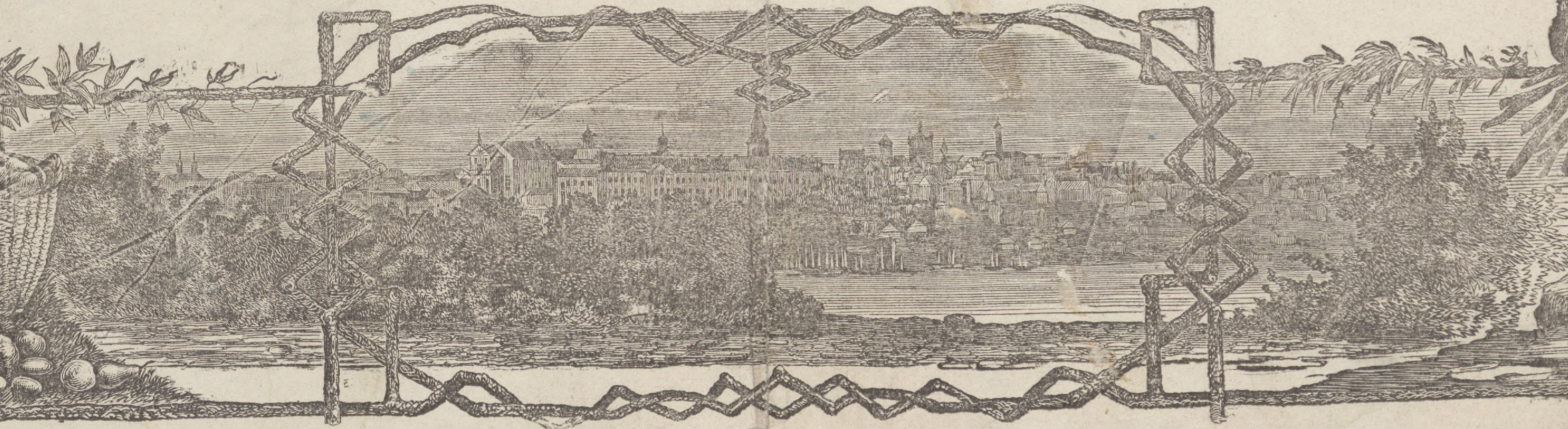
Dnie 4 i 11 Szabasy, d. 14 Rozchodesz czyli I Mca Kislew, d. dnia 18 i 25 Szabasy.

Grudzień ma dni 31.

19	1	P.	Eligjusza B. i Natalji
20	2	S.	Bibjanny i Piotra Ch.
21	3	N.	1 Adw. Fran. Ksaw.
22	4	P.	Barbary P. M.
23	5	W.	Sabby Opata
24	6	S.	Mikołaja Bisk
25	7	C.	†Ambrożego Arcyb.
26	8	P.	NIEP. POCZ. N. M. P.
27	9	S.	Leokadji i Walerji P.
28	10	N.	2 Adw. N. M. P. Lor.
29	11	P.	Damazego P.
30	12	W.	Synezjusza i Alex.
1	13	S.	Łucji P. M. i Otylli
2	14	C.	Spirydjona B. Nik.
3	15	P.	Ireneusza M.
4	16	S.	Adelajdy C. i Albiny
5	17	N.	3 Adw. Łazarza B.
6	18	P.	Gracjana B.
7	19	W.	Faustyny Wd.
8	20	S.	†Teofila Kapł. M.
9	21	C.	Tomasza Ap.
10	22	P.	†Zenona żoł. i Flor.
11	23	S.	†Wig. Wiktorji P. M.
12	24	N.	4 Adw. Adama i Ewy
13	25	P.	NARODZ. CHR. P.
14	26	W.	SZCZEP. 1 D. i M.
15	27	S.	Jana Ap. i Ewang.
16	28	C.	Młodzianków
17	29	P.	Tomasza Kantuar.
18	30	S.	Eugen. i Sabina B.
19	31	N.	po N Ch. Sylw. i Mel.

Święta Izraelskie.

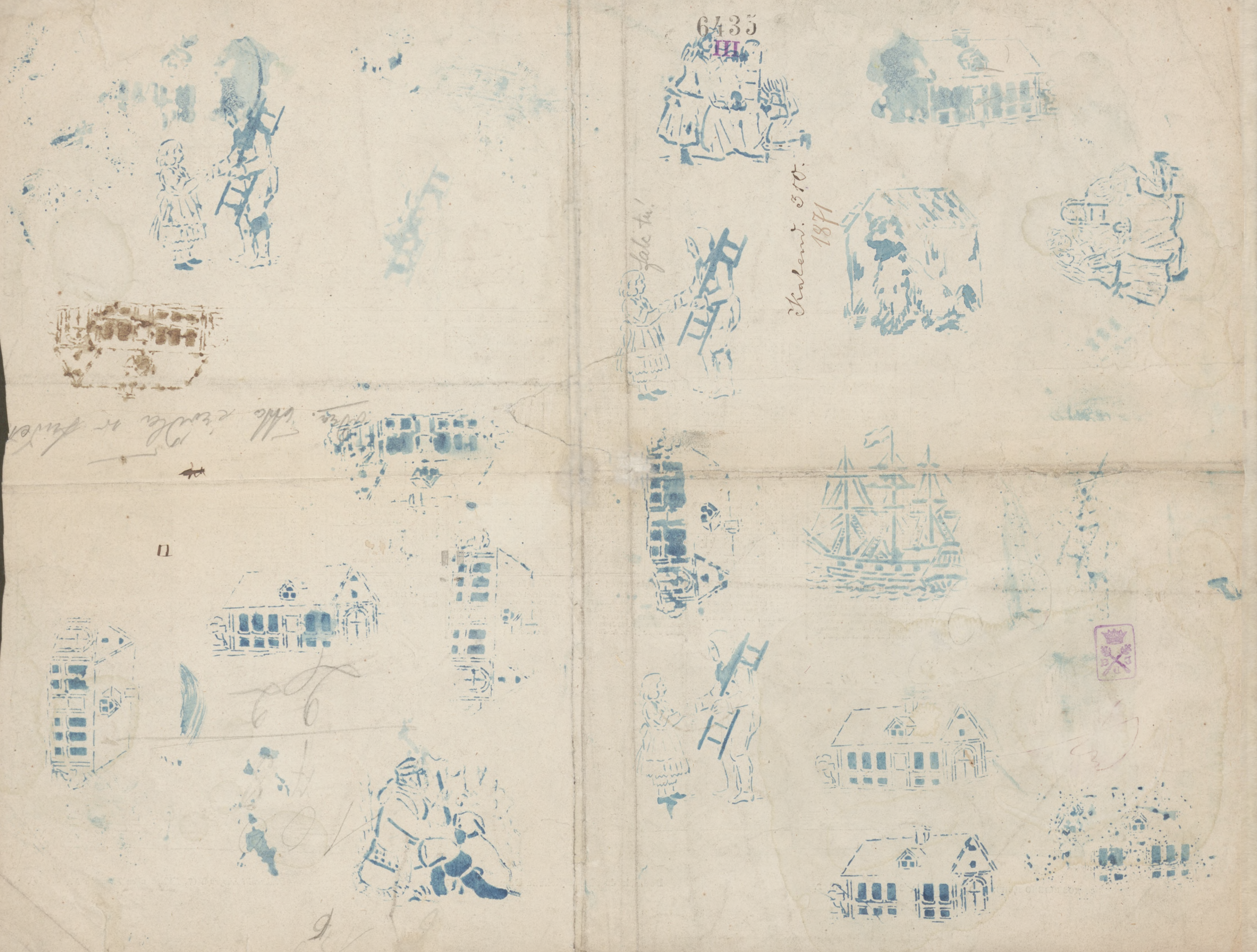
D. 3 Szabas, d. 8 rozpocz. się Gody trw. dni ośm, d. 9 Szabas, d. 13 Rozchodesz czyli 1 Mca Tewas, d. 16 Szabas, d. 22 Asuro betajwes post zburzenia Jerozelimy, d. 23 i 30 Szabasy.



ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. ВАРШАВА 30 НОЯБРЯ 1870 Г.

Dodatek do № 1 Opiekuna Domowego 1871 r.

w Drukarni i Litografii Ch. Keltera ulica Tłomacka Nr. 570 (6).



Lale tu!

Kalend. 3 10.
1871